

Felieton - Moja Polska

Jan Herman

Bardzo proszę Czytelników, aby zechcieli zrozumieć moje położenie jako publicysty: moja znajomość z Włodzimierzem Czarzastym datuje się na przełom lat 70/80-tych: on był – wybitniejącym z dnia na dzień – aktywistą organizacji studenckiej Uniwersytetu, ja zaś – mało wyrobionym z różnych powodów – aktywistą tej samej organizacji w SGPiS (dziś SGH). Jego ciągnęło do spraw związanych z tzw. kulturą studencką i do „kariery pionowej” – ja trzymałem się ruchu studenckich kół naukowych, wydawnictw, nie zaniedbując wypraw turystycznych i „aktywności klubowej” (współbudowałem nawet „tymi rękami” klub Arlekin, przemianowany jeszcze podczas budowy na Park).

Po kilku latach przez jakiś czas pracowaliśmy w jednym budynku przy ulicy Ordynackiej w Warszawie: on był już „pionowo” na najlepszej drodze do sukcesów, ja przewodniczyłem „swojej” Ogólnopolskiej Radzie Nauk Społecznych i zarabiałem jako kierownik „zakładowej rewizji gospodarczej” w ZSP. Role te kłóciły się ze sobą, ale ja zawsze tak jakoś mam. Włodzimierz zawsze był świetnym kompanem i równie świetnym graczem. Jako kompan sprawdzał się zawsze, jako gracz okazywał się cynikiem i zimnym draniem. Na moje oko też mu się to powinno było kłócić – ale jakoś sobie (po)radził.

W każdej firmie są koteryjki i „spółdzielnie”. Włodzimierz należał do „tej drugiej” (choć ja akurat nie wiem, w której byłem). A mimo to zachował się wobec mnie przyzwoicie, dyskretnie ostrzegając, że będę miał kłopoty w związku z nie całkiem zupełną swoją uległością wobec oczekiwania „aparatu organizacji” (tak tego nie formułował, ale tak to zapamiętałem).

Kiedy był już Sekretarzem KRRiT – też mi pomógł w pewnej inicjatywie na 50-lecie Telewizji. W dwa telefony załatwił wszystko, a w pół długopisu przekreślił to inny wspólny znajomy. Tak bywa: nie zasłużyłem się Polskiej Telewizji, bo komuś się przypomniało, że kiedyś nie zdołał mi zablokować „kariery”. Teraz się zemścił, użył sobie.

Kiedy Włodzimierz współ-założył Stowarzyszenie Ordynacka – ja się nie garnałem, bo jakoś zbyt pamiętałem owe „kłopoty”, o których mnie kilkanaście lat wcześniej ostrzegął Włodzimierz. Wszystkie te moje „kłopoty” zostały zainstalowane w jakimś potworku statutowym pod nazwą Senatorzy ruchu post-studenckiego. Lata jednak minęły i stałem się aktywistą Ordynackiej, przewodniczyłem jednej z komisji. A Włodzimierz nią rządził (tak to sobie zapamiętałem), choć stosunkowo późno sam zgodził się zostać Przewodniczącym. Czasem darliśmy koty, czasem wspierałem go tam, gdzie innym brakowało czasu na codzienne zaangażowanie w zwykłe roboty organizacyjne. Ostatecznie pogrzebaliśmy naszą „przyjaźń”, kiedy opacznie zrozumiał to, iż ująłem się za „ludźmi z Politechniki” (w Warszawie panuje silny podział plemienny).

Wszyscy wiedzą, że Włodzimierz jest człowiekiem sukcesu jako przedsiębiorca-wydawca. Mam swój śladowy udział w tym sukcesie: na jego „zapytanie ofertowe” wskazałem mu dobrą księgową i równie dobrą edytorkę, które chyba do dziś pracują w Muzie.

Nie wszyscy wiedzą, że Włodzimierz ideowo jest rozcapierzony, rozedrgany między post-PZPR i liberał-transformację. Tak zresztą powstała Muza, jeśli sięgnąć w jej trzewia założycielskie.

Ja zaś jestem – podaję to tak dla informacji, bo raczej nie jestem „znany” – otóż jestem przewrażliwiony na punkcie tzw. kapitalizmu, czyli oskubywania licznych przez nielicznych z owoców pracy, pomysłów, zaangażowania, marzeń, praw do pierwszeństwa.

Słowem: stoimy z Włodzimierzem po przeciwnych stronach „różny wiatrów”, ale – o paradoksie –

to on jest dziś formalnie liderem politycznej partii przewodzącej żywiłowi lewicowemu w Polsce, a ja – podskakując na marginesie „prawdziwej lewicy” – jestem zarazem członkiem wspólnoty wyznaniowej stawiającej stanowczo na moralne wartości konserwatywne.

* * *

Największym osiągnięciem Włodzimierza – w moich oczach – jest jego znakomita „rola” odegrana przed „rywinowską” komisją sejmową: tak dramatycznego i zarazem celnego podsumowania paskudnej roli wydawcy Agory w polskiej przestrzeni biznesowo-medialnej nie zdołał nikt inny lepiej przedstawić. No, ale wybitne role niektórym zdarzają się raz tylko w życiu...

* * *

Widziałem – bez specjalnego współczucia – jakie kłody rzucało Włodzimierzowi pod nogi jedno czy drugie „lobby” SLD-owskie. Dzielnie sobie z tym poradził, przy okazji doznając okropnego „szoku zdrowotnego”, z którego też wychodzi lepiej niż inni.

Rzecz w tym, że stając się szefem „największej” partii „lewicowej” w Polsce – musiał się Włodzimierz samo-okastrować z czegoś, co jest jego największą siłą. Otóż on jest znakomitym liderem w warunkach „małoliczebnych”, bo jest ujmujący, familiarny, a jednocześnie konsekwentny w prowadzeniu rozmowy „pod swoje cele”. A polityk tej miary musi mieć jeszcze te drugą, wiecowo-medialną nogę – i tej nogi on nie ma. To dlatego wszyscy mają wrażenie, że mu tych kilkunastu wiceprzewodniczących włoży „na głowę” i każdy plecie własne sitowie, a całość jest jak przemakająca krypa z nadgniętym dnem, pełna Robinsonów machających każdy innym proporcem, nieświadomych przeznaczenia.

Najwięcej mu szkody – poza nim samym – robi niegdysiejszy robotnik-aparatczyk, który ma wiele na sumieniu lewicowym, na przykład to, że jako Kanclerz poprowadził SLD od „stanu mocy” do „życia pozaparlamentarnego”. Okazuje się, że ma on chyba większe wzięcie w „strukturach” niż – było nie było – szef SLD.

* * *

Co robi Włodzimierz? Wchodzi w skórę kanclerza. Wyciera sobie gębę ponad stuletnim dorobkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, nie mając nawet zamiaru przyłożyć do tego dorobku własnych zasług, nie mając ochoty popchnąć aktyw SLD w tę dobrą, socjalistyczną, patriotyczną stronę. Inna sprawa, że PPS pozwala mu na tę „dziką prywatyzację” i jak ten zbiorowy pelikan łyka w obecnych wyborach czwarte, piąte i dalsze miejsca na listach, co oznacza, że PPS przypina swoich wyborców do puli SLD, nie mając najmniejszych szans na jakiegokolwiek polityczne beneficja.

I takich „jeleni na kajak” ma SLD kilkadziesiąt ugrupowanek-stowarzyszonek.

A mógłby Włodzimierz udowodnić, że ma spodnie na dupie, nie na łbie. Po co ściga się z liberalnymi obwiesiami na szmoncesy anty-PiS-owskie, przecież mógłby „zarządzić” spółdzielnię socjalną w każdej gminie, mógłby wszystkie sprawy związane z wykluczeniami (te nie gasną nawet pod wpływem gaśniczej Piany-Plus) przenieść na te spółdzielnie, uczynić ludzi spychanych na margines gospodarzami projektu naprawdę nowoczesnego, choć ćwiczonego od stulecia. Nie mówię o ratowaniu z topieli „czerwononosej patologii”, tylko o ludziach z biglem,

wykształceniem, umiejętnościami, witalnością społecznikowską, którym nie będzie raczej dane „pod POPIs-em” doświadczyć „normalności”, na którą zasługują choćby z tego powodu, że są obywatelami i ludźmi.

Wszelkie programy „walki z bezrobociem, bezdomnością, korupcją, lichwą, wyprowadzaniem zysków za granicę” – są niewarte funta kłaków wobec – postulowanego tu – rozwiązania w postaci spółdzielni lokalnej animowanej przez wójta, burmistrza, związek zawodowy, organizacje pozarządowe, nawet parafie, itp.

Włodzimierz podążając aparaczkowskim śladem Kanclerza (ten go zresztą co dzień w mediach „dziuga” boleśnie), zagarniając rozmaite „siły stowarzyszone” w trybie eksploatacyjnym a nie partnerskim – cofa polską lewicę z powrotem do jaskiń, wdrapuje się z nią na prehistoryczne drzewa, gdzie będzie ona niczym te kosmate małpy z „walki o ogień”.

I mam przecucie, że na to drzewo zostanie w końcu odesłany.

Jan Herman

Więcej: <https://publications.webnode.com/news/czarzasty-sie-wspina-na-drzewo/>